DODATEK LITERACKI I OGÓLNOKSZTAŁCĄCY „DZIENNIKA BERLIŃSKIEGO"

JAN KOCHANOWSKI

O dobrodziejstwach Boga.

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?
Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie!
I w otchłaniach i w morzu, na ziemi, na niebie,
Złota też, wiem, nie pragniesz, bo to wszystko Twoje,
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje,
Wdzięcznym Cię tedy sercem, Panie, wyznawamy,
Bo nad nie przystojniejszej ofiary nie mamy.
Tyś pan wszystkiego świata, Tyś niebo zbudował
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował;
Tyś fundament założył nieobeszłej ziemi
I przykryłeś jej nagość zioły rozlicznemi.
Za Twojem rozkazaniem w brzegach morze stoi,
A zamierzonych granic przeskoczyć się boi.
Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
Biały dzień a noc ciemna swoje czasy znają,
Tobie kwoli rozliczne kwiatki wiosna rodzi,
Tobie kwoli w kłosianym wieńcu lato chodzi,
Wino jesień i jabłka rozmaite dawa,
Potem do gotowego gnuśna zima wstawa.
Z Twej łaski nocna rosa na mdłe zioła padnie,
A zagorzałe zboża deszcz ożywia snadnie,
Z twoich rąk wszelkie zwierzę patrza swej żywności,
A Ty, każdego żywisz z Twej szczodrobliwości.
Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie!
Twoja łaska, Twa dobroć nigdy nie ustanie.
Chowaj nas, póki raczysz, na tej niskiej ziemi,
Jedno niech zawsze będziem pod skrzydłami Twemi!

Z dziejów Polski.

Słowianie i dzieje bajeczne.

Jak praojcowie innych ludów europejskich, tak i nasi, Słowianie, przyszli niegdyś w niepamiętnych czasach z Azji, by sobie znaleźć nowe siedziby. Ciągnęli mnogiemi taborami, kobiety i dzieci na wozach, mężczyźni pieszo lub konno; gnali przed sobą niezliczone stada bydła i koni. Jedni zajęli ogromne obszary na wschód od Bugu i Dniestru — to Słowiańszczyzna wschodnia, ludy ruskie. Drudzy, przekroczyli Dunaj, dotarli aż do błękitnych toni Adrjatyku — Słowianie południowi, Serbowie i Chorwaci. Między Karpatami i Bałtykiem, w dorzeczu Wisły, Odry i Łaby, rozsiedli się przodkowie Słowian zachodnich.

Nazwa Słowian wywodzi się stąd, że choć rozgałęzieni w różne ludy i plemiona, wszyscy jednak mogli się porozumiewać między sobą jednem wspólnem „słowem", jedną mową, z której dopiero z biegiem wieków rozwinęły się osobne języki słowiańskie.

Dziedzictwo praojców naszych było jedną nieprzejrzaną puszczą. W mrocznej gęstwie borów i na słonecznych polanach żyły tury, żubry, łosie, niedźwiedzie i moc drobniejszego zwierza; w dziuplach drzewnych pszczoły złoty miód zbierały do barci; rzeki, pełne ryby wszelakiej, rozlewały się szeroko, tworząc bagna i jeziora; na błotach i trzęsawiskach żerowały tysiące wodnego ptactwa.

Ludzie jeszcze nieliczni, wykarczowawszy gdzieniegdzie spłacheć lasu, poczynali się imać radła, lecz głównie żyli pasterstwem, rybołówstwem, myśliwstwem i bartnictwem. Zmarłych palili na stosie, i to w odświętnej przyodziewie, z orężem, z ulubionym koniem, z psiarnią i z łowczemi sokoły, by duch na tamtym świecie mógł jeździć na łowy i boje. Popioły i kości grzebali w glinianych urnach na cmentarzyskach, zwanych „żalami". Uroczyście obchodzili jesienne święto Dziadów czyli przodków, składając na mogiłach jadło i napitek. Z wiarą w nieśmiertelność duszy łączyła się wiara w bogów rozlicznych: w świątyniach zwanych kontynami odbierał cześć Swantewit czy Światowid, Swarog, Perun, Łado, Żywia, Marzana. Wierzyli także w złośliwe biesy, rusałki, topielce, upiory, wilkołaki. Lubowali się w pieśniach, a ślepy dziad, gęślarz albo lirnik zawodził swe dumy przy każdej uczcie, przy każdym obrzędzie, na weselach i postrzyżynach. W dzieciństwie bowiem chłopca nie strzyżono i długowłosy chował się u boku matki między niewiastami: dopiero gdy kończył lat siedem, uroczyście postrzygano mu czuprynę, i wtedy przechodził pod rękę ojcowską, zaprawiał się do prac męskich, do robienia bronią i do łowów.

Był to lud łagodny, dobroduszny i wielce gościnny, mężny, dziwnie wytrwały na trudy i niewygody, miłujący wolność ponad wszystko, przytem zapalczywy, niesforny i niezgodny. Żyli więc rozdrobnieni na liczne bratnie plemiona, które targały się nawzajem i wcale nie były pochopne do połączenia się w jedno państwo. Każde plemię chodziło luzem, radziło i wojowało na własną rękę.

Nad brzegiem Bałtyku, w sąsiedztwie Prusów, po między ujściem Wisły i Odry, mieszkali Pomorzanie: dalej ku południowi, na równinie nad Wartą, nad jeziorami Gopłem i Lednicą, gnieździło się wśród bagien i trzęsawisk plemię Polan. Od nich na południe Ślężanie rozgospodarowali się w dorzeczu górnej Odry aż po góry czesko-morawskie. Między grzbietem Karpat a górną Wisłą siedzieli Wiślanie, zwani także Białochrobatami, a na wschód od Sanu Czerwonochrobaci, którzy od napadów sąsiedniej Rusi pobudowali sobie ku obronie grody Czerwieńskie i z Rusinami wciąż je sobie nawzajem wydzierali. Na północ od Białochrobacji, nad Wisłą i Bugiem rozpościerało się płaskie, piaszczyste Mazowsze, kraj ubogi a bitnych Mazurów, którzy bezustannie musieli się oganiać od obcoplemiennych sąsiadów na północy i na wschodzie, od Prusów i Jadźwingów. Między Mazurami a Polanami, więc pomiędzy Wisłą a Wartą, były siedziby Kujawiaków i Łęczycan.

Wszystkie te bratnie plemiona zjednoczą się kiedyś we wspólne państwo, zrosną się w jeden polski naród. Ale w owych zamierzchłych wiekach wadzą się wszystkie i najeżdżają, i zupełnie jak od obcych Niemców, Prusów, czy Jadźwingów, odgradzają się od siebie nawzajem zasiekami. W zasiekach pozostawiano wolne przejścia czyli brony. Ale bron trzeba było bronić, przy każdej więc była zbudowana twierdza, zwana grodem albo tynem: otaczały ją rowy głębokie i wały obwarowane ostrokołem, a nierzadko dźwigała się drewniana wieża. Większe grody, stołby, z drzewa i z polnych kamieni, wznosiły się wewnątrz kraju, by ludność wespół z dobytkiem miała się gdzie chronić w razie napadu nieprzyjaciół.

Pierwotnie osadę zakładał jeden człowiek, zawłaszczywszy sobie kawał ziemi. Potomkowie tego wspólnego dziada czyli „dziedzice" nie dzielili się posiadłością, budowali sobie tylko zagrody i chaty osobne, ale wspólną ziemią wspólnie gospodarowali. Od imienia wspólnego przodka urabiało się wspólne miano i rodu samego i rodowej osady: więc od Krzesza — Krzeszowice, Racławice od Racława. Zrazu sam taki Racław czy Krzesz sprawował ojcowską władzę nad synami i wnukami; w późniejszych pokoleniach rozrodzeni „stryjce" rodowi obierali z pomiędzy siebie starostę. Wszyscy oni byli sobie równi, wszyscy wolni; mieli wprawdzie niewolników, ale byli to ludzie obcy, jeńcy wojenni albo niewolnicy kupni. Pobliskie osady rodowe stanowiły ujazd, a wspólne sprawy takiego ujazdu szły pod obrady wiecu, na który zwoływały się osady, rozsyłając od wsi do wsi wici, czyli pęki zielonych gałązek.

Ale na wojnie wiecowanie na nic, tam jeden tylko może rozkazywać. Ustawiczne boje i napady musiały wkońcu na czoło plemienia całego wysunąć wojennego dowódcę, który potem, nawet podczas pokoju, narzucał swoją władzę ludności. Tak wynieśli się ponad innych współplemieńców kniaziowie, którzy wbrew rodom i wiecom zagarniali rządy. Kniaź utrzymywał i żywił na swoim dworze zbrojną drużynę walecznikόw; taka drużyna, to podstawa kniaziowskiej potęgi, to związek przyszłego stanu rycerskiego.

Gdy książę mocno usadowił się w kraju, rozpowszechniła się zasada, że wszelka ziemia jeszcze niezasiedlona jest jego własnością, jego dziedzictwem; taki był początek późniejszych dóbr koronnych, czyli królewszczyzny w Polsce. Niekiedy za wierne służby w drużynie wydzielał kniaź walecznikom swoim rozległe obszary ziemi, a posiadłości takie brały nazwę od imienia właściciela: Czerniaków od Czerniaka, Prandocin od Prandoty i t. p. Na utrzymanie książęcego dworu i drużyny pracowały całe osady, założone umyślnie w tym celu i składające się wyłącznie z ludzi niewolnych: byli to zwykle jeńcy wojenni, osadzeni na ziemi książęcej, a zwano ich „narocznikami".

Tak rozwijały się i zaludniały te odrębne księstwa plemienne; do połączenia się ich ku wspólnej obronie w jedno większe ciało było jeszcze daleko, chociaż u sąsiednich Morawian, a potem u Czechów nie brakowało dobrych przykładów; państwo na Morawach, dwukrotnie zakładane, rozbiło się wprawdzie oba razy pod ciosami wrogów, ale w Czechach ród książęcy Przemyślidów zdołał utrwalić panowanie swoje nad całym krajem i wszystkie pokrewne plemiona związał w jeden naród.

U nas brak wszelkiej spójni srodze dawał się we znaki, bo Niemcom ułatwiał podboje odosobnionych ludów. Połabskie plemiona Obotrytów, Lutyków, Łużyczan, ciągłemi najazdami Sasów nękane, musiały cofać się lub szły bez litości pod miecz.

Słowiańszczyzna dojrzewała powoli do przyjęcia religji chrześcijańskiej. Najprzód ją przyjął z pobliskich Włoch lud Chorwatów, osiadły nad Adriatykiem. Do Moraw i do Czech zawitali z Krzyżem dwaj bracia słowiańskiego pochodzenia, święci apostołowie Cyryl i Metody. Głosili oni Ewangelję w mowie słowiańskiej, a nawet za osobnem pozwoleniem papieskiem w języku słowiańskim odprawiali nabożeństwo i bez oporu zdołali nawrócić Morawian i Czechów.

Mętne i niepewne są dzieje słowiańskich przodków naszych. Pamięć ich czynów nieutrwalona pismem przechodziła pokoleniami z ust do ust; zmieniała się w baśń cudną, lecz mało do prawdy podobną. A jednak w tych bajecznych dziejach Polski przedhistorycznej, choć jak przez mgłę, zawsze majaczy jakiś nikły cień prawdy. Poczucie wspólnego pochodzenia wszystkich Słowian odbiło się w podaniu o trzech braciach, Lechu, Czechu i Rusie, którzy z całem swojem rodowiskiem przywędrowali od wschodu słońca i rozeszli się w trzy różne strony. Lech w mrokach odwiecznego boru znalazł gniazdo białych orłów i na miejscu tem założył Gniezno, a za godło wziął sobie orła białego.

Prastare podanie chrobackie prawi o założeniu Krakowa. Nad wiślanym brzegiem, w jamie skalnej na stokach Wawelu smok się wylęgł straszliwy, pożerał żywcem ludzi, z pastwisk unosił bydło; mężny Krak zabił potwora i na szczycie góry zbudował gród wawelski, a pod Wawelem powoli miasto wyrastało, bo nie odrazu Kraków zbudowano. Jeden syn Kraka zamordował drugiego i sam przepadł bez wieści; ojciec na łożu śmierci złożył berło w białe ręce jedynej córki Wandy. Po śmierci lud usypał mu wysoką mogiłę za miastem, a Wanda na tronie zasiadła. Młody książę Rytygier słał do Krakowa swaty po cudowną królewnę, lecz ona za cudzoziemca wyjść za mąż nie chciała. Najechał jej ziemię z Niemcami swoimi, ale Wanda na koń siadłszy, rozegnała najeźdźców. I poprzysiągł Rytygier, że się zemści, a ją pojmie za żonę; więc królewna zwycięska w nurty wiślane skoczyła i znalazła w nich śmierć. A lud płakał i usypał drugą mogiłę nad Wandą. I Polanie nad Wartą baśnie prawili odwieczne o tem, jak wśród Gopła na wyspie kniaź Popiel, Chwostem zwany, pobudował grojec warowny i z wysokiej wieży groźnie patrzał na swe miasto Kruszwicę. Żona Niemkini podżegała go do srogości nad ludem, a brodaty Chwost uległ jej podszeptom. Burzyli się Polanie, a stryjce rodowi na wiecach radzili o książęcym ucisku. Dwaj aniołowie pańscy przyszli na gród w podróżnej odzieży, o gościnę prosili, lecz ich Popiel wyszczuł psami za wrota. Zaszli potem do kmiecia, do Piasta Kołodzieja. W sam raz on postrzyżyny wyprawiał synaczkowi, podróżnych rad ugościł, żona jego Rzepka częstowała czem chata bogata. W kmiecej komorze cudem jęło przybywać jadła, trzeba było stągwi dopożyczać, bo domowe przelewały się miodem, a tak całą Kruszwicę Piast uraczył w swej zagrodzie ubogiej. Aniołowie postrzygli mu syna, dając chłopcu imię Ziemowita, imię, które znaczyło: Pan Ziemi. Popiel za żony podmową stryjców pospraszał na gród i zgładził ich miodem zatrutym, a ciała ich potopić kazał w Gople. Z ciał lęgły się myszy krociami, grojec kniazia opadły i wdarły się na wieżę i cały ród Popielów zagryzły. Polanie Piasta okrzyknęli księciem, a po Piaście panował Ziemowit.

W baśni brzmi głucha wieść o książęcym rodzie Popielów, którzy rządzili Polanami nad Gopłem i Wartą, ze starszyzną plemienia, ze stryjcami, jakieś mieli krwawe zatargi i wyginęli skutkiem tych zatargów. Aniołowie Piastowi — to może święci Cyryl i Metody lub wysłannicy od nich do Polan wyprawieni. Nowsze domysły widzą w Piaście nie kołodzieja biednego, jego imię tłumaczą jako nazwę urzędu, i to wysokiego: „piast" czy „piastun" znaczyłoby opiekun, wychowawca książęcy, który pozyskał sobie lud, Popiela strącił z tronu i dał początek nowej rodzinie panującej. To jedno jest niewątpliwe, że po wytępieniu rodów Popielów — objął nad Polanami rządy ród Piastów, który potem berło polskie dzierżył przez kilka wieków.

O perłach.

A czemże jest w istocie ta kosztowna ozdoba?

Przypowieść ludowa mówi, że krople rosy, czy łzy niebieskie, spadając do morza, stają się perłami.

Perła jednak to narość na ciele perłopławki, mięczaka, należącego do małżów. Gdy obce ciałko, np. ziarnko piasku, dostanie się do wnętrza muszli przez otwartą skorupę, zwierzę nie może go wyrzucić, więc drażni ono ciało i uwiera. Wtedy to perłopławka, chcąc ulgę sobie przynieść, wydziela ze swego ciała masę wapienną i otacza nią ziarnko piasku. Masa ta tężeje, potem dookoła tego ziarnka narasta i wytwarza perłę.

Perłopławki żyją tylko w niektórych morzach krajów gorących, przytwierdzone do miejsca, jak ostrygi. Najpiękniejsze perły poławiają w oceanie Indyjskim, przy brzegach wyspy Cejlon, gdzie na podmorskich skałach rozpościerają się szerokie ławy muszli perłowych.

Handel perłami znajduje się w rękach bogatych kupców. Ale biedni poławiacze, którzy perłopławki wydostają z morza, zarabiają tak niewiele, że ledwie starczy im na życie. A ciężka to praca i od młodości muszą się do niej zaprawiać. Bo są płatni od sztuki, więc chodzi im o to, aby jak największą ilość perłopławek móc wydostać z morza. A muszą się śpieszyć, bo nurek pod wodą bez skafandra może zaledwie wytrzymać dwie minuty, a tylko najwięksi mistrze umieją się tak zachować, że mogą przebyć cztery minuty na dnie morza bez szkody dla zdrowia. Po wydobyciu muszli z morza, rozpościerają je starannie na matach, w izbach zamkniętych, dopóki mięczaki nie zamrą, bo wtedy skorupy otwierają się z łatwością i można bez trudu perły wydobyć. Potem oczyszczają samą muszlę z mięczaka i wyrabiają z niej różne przedmioty jak: guziki, oprawy do noży, portmonetki i t. p., które często spotykamy w handlu pod nazwą wyrobów z konchy perłowej.

EUGENJUSZ MAŁACZEWSKI

Cor cordium Poloniae.*)

Na kresach ruskich, w ziemi ponownie ogarniętej przez samowładztwo komisarzy bolszewickich, niby przez powtórny zalew bagniska zatrutego, wśród pól, gdzie się dotąd poniewierają niepogrzebione, obdarte z odzieży, ciała pobitego żołnierstwa polskiego, w miastach do niedawna jeszcze rozbrzmiewających od łoskotu naszych dział, co dudniły potężnemi kołami po wybojach bruku, — czuwa nasza straż wyborowa, straż najmłodsza, o której istnieniu zapomnieliśmy, której służby nie doceniamy.

Z dziejów jej zmagania się z przemocą i podstępem czerwonych katowni opowiedziano mi kilka faktów, które spisuję wiernie, ze słów naocznego świadka.

*

Władza bolszewicka na terenach przez siebie rządzonych, tępiąc przezornie wszelkie niekomunistyczne organizacje społeczne, popiera jednakowoż wszelkie poczynania młodzieży i daje im możność rozwoju.

Zrezygnowawszy z gruntownego przeinaczenia dorosłych burżujów i reakcjonistów na prawych towarzyszów komuny, tem usilniej stara się wpływać na wychowanie szkolne i pozaszkolne istot młodych. Mordercza prawica zbója, lepka od krwi i brudu, działa w porozumieniu ścisłem z lewicą, która kładzie dłoń zniepprawiającą na duszach młodzieży i sercach dzieci.

Uznano za celowe rozpowszechnić skauting. Do miast i miasteczek kresowych zjechały tedy ze stron niewiadomych wybitnie rasowe chłopięta, należycie kędziarzawe, wielce przedsiębiorcze, z buzią wygadaną i arogancką, jak u starych łotrów partyjnych.

I rozpoczął się werbunek, rozdawnictwo na prawo i lewo zadrukowanej bibuły, oraz zakładanie t. zw. „jaczejek", czyli komórek czerwonego skautingu. Nieletni współrodacy wybitnie rasowych chłopiąt tłumnie zaciągnęli się pod sztandar z czerwoną gwiazdą; namową i groźbą wciągnięto do szeregów również i kilku młodych aryjczyków, pochodzenia rosyjsko-małoruskiego (iżby odjąć od tak sformowanego „skautingu" zdecydowany wygląd kahału). Tak to w jednym dniu na całej ukrainie, Podolu i Wołyniu powstał sławetny „JUK".

W państwie „sownarkomów" i „sownarchozów", „agitcentrów" i „proletkultów", — skrót „JUK" oznacza „Junyj Komunist" — „Młodociany Komunista".

Polskiej młodzieży nie ruszano, albowiem miała już własne drużyny harcerskie. Natomiast polecono jej utworzyć w łonie drużyny komitety i podporządkować je naczelnemu sowietowi „JUKA". Rozkaz ten wykonano „dla oka władzy". Do komitetów weszła szarża harcerska i sformowała rodzaj sztabów, które w obliczu niebezpieczeństwa tem silniej ujęły w ręce sprawę kierownictwa i wyćwiczenia harcerzy w sprawnościach i cnotach. One to składały komisarzom „JUKA" odpowiednim duchem zaprawione raporty, tudzież odbierały instrukcje, z góry przeznaczone „do luftu", jakoteż całe stosy komunistycznej bibuły, mającej uświadamiać harcerstwo polskie. O losach tej bibuły nie śmiem tu mówić wyraźnie, bo w słowie drukowanem robić tego nie wypada.

JUK, któremu imponowała postawa i wyćwiczenie harcerstwa polskiego, stale darzył je natrętną przyjaźnią, oraz gnębił ciągłem nagabywaniem o wspólne wycieczki, ćwiczenia i zabawy. Harcerstwo nasze za tę gwałtowną przyjaźń odpłacało w oficjalnych stosunkach uprzejmością, pełną dużej rezerwy. Natomiast stosunek pojedyńczych harcerzy do pojedyńczych „juków" nie był pozbawiony zabarwienia żywszego.

Zamiast hasła: „Czuwaj", skauting rasowy przy spotkaniu pozdrawia się przez: „Bud' gotow!" (Bądź gotów). Zagadnięty temi słowy harcerz polski odpowiadał zazwyczaj z szelmowską uciechą: „Bit' żidow!"

Przebaczmy jednak harcerstwu tamtejszemu ten manifestujący się w nieoczekiwanym rymie antysemityzm! W kraju, gdzie naród wybrany już doszedł do władzy niepodzielnej, zaiste trudno jest zdobyć się na humanitarny filosemityzm, który jednak obowiązuje społeczeństwo, cackające się ze swą mniejszością narodową, niby z naczyniem dziwnego nabożeństwa...

W jednem z miast, gdzie siedlisko miały polskie drużyny harcerskie wraz z paru kahałami Juka, urządzono razu pewnego wielce paradną rewję. Na jasno-zieloną łączkę za miastem przemaszerowali, bo musieli, harcerze nasi; z niemałym gwałtem ściągnęły również roty Juka, powiewające czerwienią płacht, zatkniętych na tyki od chmielu. Szły ze śpiewem „Internacjonału", w którym fanfarą marsyljankową brzmią takie oto, znamienne dla całego bolszewizmu, słowa:

„Kto był niczem,
Tot staniet wsiem!"
(Kto niczem był, ten będzie wszystkiem).

Rewję robił towarzysz Komjuk (komisarz od Juka) w asyście towarzysza, który się wabił: Kompres. Nie myślcie tylko, iż ten dygnitarz miał cośkolwiek wspólnego z medycyną. W państwie „centrosachara" i „rewkomu", „wikżeła" i „centrobalta", Goga i Magoga — „Kompres" jest udatnym skrótem od komisarza prasy.

Towarzysze Komjuk i Kompres, znalazłszy się przed frontem drużyny harcerskiej, pozdrowili naszych chłopców swojem: „But' gotow!" Odpowiedź, przewidziana przez regulamin, ma być: „Na boj z wragom!" Drużyna polska odrzekła: „Czuwaj". Komjuk zrobił piekło drużynowemu i harcerzom. — Lecz mimo to na parokrotne: „But' gotow!" chóralna odpowiedź drużyny wciąż brzmiała: „Czuwaj!"

Komisarz widząc, że gniewnem miotaniem się na upór chłopaków nie poradzi, próbował ich zjednać pochlebstwem. W przemówieniu kwiecistem, niczem najprzedniejszy z psalmów Dawidowych, złożył drużynie hołd za jej sprawność i wyćwiczenie. A gdy mu się zdało, że grunt już przygotowany dostatecznie, podziękował za służbę w sposób regulaminowy. Na podziękowanie należało odpowiedzieć: „Rady starat'sia rewolucii". Temi bowiem słowy odpowiada dziś Rosja na pochwały swych ciemięzców. Przed paru laty ryczała chórem: „Rady starat'sia waszemu prewoschoditielstwu!"

Ale drużyna harcerska i tym razem zawołała: „Czuwaj!"

Towarzysz Komjuk zapienił się złością, zapluł się gejzerem śliny i wyzwisk najordynarniejszych.

Próbował potem kilkakrotnie jeszcze wydobyć od upartej drużyny odpowiedź przepisową.

Lecz dziatwa polska coraz donośniej, a z tym samym uporem niezłomnym, — jakby na wielką przestrogę sobie samej — wołała chóralnie:

— Czuwaj!!...

I hasło to brzmiało, jak nocne zwoływanie się żórawiąt, czujnie strażujących na obczyźnie.

*

Inny obrazek.

W dużem mieście kresowym istniało kilka szkół polskich, w których uczyło się około tysiąca dzieci obojga płci. Język wykładowy był polski. Stosownie do instrukcji władz bolszewickich, dziatwa musiała z grona swego wybrać rady, mające kontrolować personel nauczycielski. Organa oświaty sowieckiej spodziewały się tym trybem łatwiej zniepprawić i na swoją urobić modłę dusze młodociane, lecz sprawa z „kramołą" nieletnich była niełatwa.

Osobliwym prześladowaniom podlegała w szkołach religja, oraz wszystko, cokolwiek miało z nią wspólnego. Specjalny paragraf instrukcji dla szkół usuwał z sal wykładowych wszelkie obrazy i wizerunki święte. Na surowy i kilkakrotny dopiero rozkaz, rady uczniowskie musiały w szkołach polskich obrazy usunąć.

Bezpośrednio jednak po ich usunięciu wystawiono krucyfiksy. I dąsania komisarzy spełzły na niczem: ów paragraf na tyle był nieprzezorny, iż ewentualności co do krucyfiksów nie przewidział. Rozwścieczeni bolszewicy kazali członków opornych rad uczniowskich wydalić ze szkół. Wyznaczono nowe rady, które miały pójść na rękę władzy. Lecz i te rozczarowały niebawem zawziętych na Boga chrześcijańskiego komisarzy. Wieczorem, w dniu obioru, ujrzeli oni nowoobrane rady, jak in corpore w komżach, z dzwonkami w ręku, brały udział w procesji na nieszporach.

Bierny opór uczniaków znużył wreszcie wolnomyślną zwierzchność i Chrystus Ukrzyżowany pozostał z polskiemi dziećmi.

Na tle tej walki z zabobonem katolickim zdarzyła się też i historja wielce ucieszna.

W szkole imienia Marji Konopnickiej, w sali rekreacyjnej, wisiał portret wielkiej poetki. Proszę przypomnieć jak wygląda na oleodruku Jej przezacna głowa w uczesaniu staromodnem, o mądrem i dobrotliwem obliczu polskiej emancypantki, z wielkiemi szkłami binokli na poczciwym nosie.

Wizytował tę szkołę jakiś wysoki dygnitarz od czerwonej oświaty. Jego inspekcja wypadła właśnie w czasie owych zajść kłopotliwych o obrazy święte.

Gdy ów dygnitarz ujrzał portret Konopnickiej w otoczu wieńców, rzucił się jak tygrys, żgnięty nagłem rozjuszeniem, zerwał portret ze ściany, cisnął go na podłogę, potratował nogami, wyszarpnął papier z ram i rwał go na kawały, rycząc i odgrażając się pięściami Bogu i burżujom.

Gdy się z gniewu wyfukał, zapytano go o powód tak zaciekłej nienawiści do poetki, która przecież całe życie była bojownicą postępu. Zdumiał się tedy i odrzekł:

— Myślałem, że to wasza Matka Boska.

— Ależ, towarzyszu, gdzieżeście widzieli Matkę Boską z okularami na nosie?

— A kto was tam zrozumie... Wy, Polacy, jesteście podstępni, wiadomo... Ot, potraficie nawet okulary domalować waszym świętym, byleby pozostać przy zabobonach burżuazyjnych. Ale mnie oczu nie zamydlicie... Żadnych obrazów — oto moja platforma!...

*

Urząd oświaty sowieckiej, nie mogąc przełamać owej dziatwy szkolnej, poskarżył się wreszcie na nią władzom wyższym, te zaś postanowiły sprawę załatwić doraźnie: albo nawrócić winnych, albo raz skończyć z nimi. Wydelegowano więc w tym celu jegomościa, łżącego po polsku bez zająknienia. Był nim niejaki towarzysz Skarbek z Kijowa, słynny lokalnie majster od nawracania rodaków na wiarę Marxa i Lenina.

Towarzysz Skarbek rozkazał spędzić wychowanków szkół polskich do gmachu teatralnego i urządził tam wiec. Zasiadły dzieci na krzesłach, starsze — dalej, młodsze — w rzędach bliższych. Na przodzie usadowiły się maleństwa, których zwieszone nóżki nie mogły dostać do podłogi. Huśtało to temi nożynami, patrząc z zaciekawieniem na spuszczoną kurtynę, czekając z paluszkiem w buzi, co będzie.

Orkiestra odegrała państwowy hymn sowiecki, który wysłuchać trzeba w postawie stojącej. Przy ostatnich dźwiękach muzyki, koło budki suflera zjawił się towarzysz Skarbek, teatralnie odrzucił w tył głowę, przymknął oczy i w uniesieniu, od którego drgał mu głos, jął deklamować... Odę do Miłości.

Młodzi słuchacze milczeli.

Po oddeklamowaniu wiersza wygłosił Skarbek przemówienie, nawiązując je do treści wiekopomnego wiersza. Z ogromnym sprytem, ze zdumiewającą znajomością duszy dziecięcej, przeszedł stopniowo do spraw bieżących. Argumentował wprost genjalnie. Polszczyzną nieposzlakowaną przekonywał o jedyności i nieomylności bolszewizmu. Zdawało się, że krzesła nawet, złotoustą wymową porwane, uczynią naraz wielki rumor przestawianych mebli i wszystkie zatrzeszczą zgodnie:

— Jeden jest bóg Marx... i Lenin — prorok jego!...

Młodzi słuchacze milczeli.

— A więc, najmilsi moi, — rzeźbił Skarbek tyradę finalną, — niech żyje nam Polska sowiecka!

Świadek naoczny, który mi to opowiadał, dodaje:

— Panie kochany, gdy po tem wszystkiem ten łotr zawołał: Niech żyje Polska sowiecka! — nie umiem określić, jaki okropny lęk mnie ogarnął... jakowyś szron zimny posypał mi się na głowę... Takiem gadaniem można byłoby przekonać starych, a cóż dopiero dzieci... Przez zwyczajne zagapienie się, automatycznie wprost mogłoby które ten okrzyk powtórzyć...

..Ale młodzi słuchacze milczeli.

Tysiąc dzieci polskich milczało milczeniem straszliwem, poprostu bijącem w pysk tę rodzimą szuję, która po aktorsku popisywała się z estrady bezwstydną nagością swojego bezecenstwa.

Otrzeźwiał mówca niefortunny, spojrzał z podełba w jasne, trochę wystraszone, oczęta dzieci, którym nóżki nie dosięgające podłogi z krzeseł zwieszały się grzecznie.

— Czyście ogłuchli — zaryczał. — Niech żyje Polska sowiecka!

Znów to samo milczenie tysiąca dzieci, bijące w pysk.

Efektem jedynym było to, że któreś z maleństw, usadowione bliżej, zmiarkowawszy, że się „ten pan gniewa", zapłakało na głos...

A wtedy towarzysz Skarbek już nie od „najmilszych moich", ale całkiem z innej rozpoczął beczki:

— Ha... to tak więc?! Wiedziałem, że tak będzie.. Wy!... Burżuazyjne szczenięta!... Gniazdo os kontrrewolucyjnych!... Bić was każę! drzeć pasy! katować!... Już wy mnie popamiętacie...

I drżąc od nienawiści, wlazł za kurtynę.

Ów tysiąc dziatwy wkrótce potem „popamiętał" swoje milczenie heroiczne.

Chłopców odesłano do armji roboczej, — gdzie o głodzie, w zawszawieniu, pod batem piłowali drzewo w lasach i ginęli od znużenia, naprawiając szosy, tłukąc młotami granit. Dziewczęta zaś użyto do posług w szpitalach epidemicznych. Dozorowały krasnoarmiejców, chorych na dyzenterję i tyfus plamisty. Jedne shańbiono, inne pomarły od chorób.

Drużynę harcerską, którą opisałem wyżej, miał spotkać podobno taki sam los.

*

Owo zwoływanie się żórawiąt polskich, czuwających na obczyźnie, i to milczenie bohaterskie tysiąca dzieci już wymarłych, lub ginących w poniewierce straszliwej — woła do nas i przemawia mową bożą, poruszając do trzewiów, zawiewa nas tchnieniem, jakoby nie z tego świata.

Dzieci z obu Powstań Narodu, dzieci z Wrześni, dzieci z obrony Lwowa, a i ta nawpółdziecięca młodzież, która poszła na ochotnika i, ginąc od chamskiego ciosu bagneta w pierś, broniła stolicy ziemi naszej, a czynem zwyciężyła poprzednio, ta najmłodsza straż lechicka, która tworzy przenajświętsze Cor cordium Poloniae, — poucza nas o czemś, nad czem przejść do porządku dziennego niepodobna.

W jej porywach, w jej czynach, w jej życiu cudownem i śmierci wspaniałej jest coś, co nas — ojców i matki, braci i siostry wciąż zastanawia, porusza do żywego, krwią wstydu w twarz uderza, wyrywa okrzyk ku pokoleniom, przyniewala do wielkiego szlochu i żarliwej modlitwy przed Bogiem!...

Czemże więc jest owo coś?

Określiłbym to, jako różnicę naszego ukochania Ojczyzny, a ich miłości dla Polski, różnicę niezmiernie istotną. Ona to daje im to, czego zazwyczaj nam tak dotkliwie brak.

Czem jest dla nas Ojczyzna — w pojmowaniu przeciętnem, w rozumieniu powszedniem: państwem, które ma się rozwijać społecznie, tyć od dobrobytu materjalnego, potężnieć politycznie, ważyć w powikłanych konjunkturach Europy. Jeden biegun tego rozumienia to sławetny „zdrowy egoizm narodowy", drugi biegun to pełne koryto dla partyjnictwa, które haniebnem przezwiskiem proletarjusza przekreśla szczytne miano Człowieka.

A dla naszych orląt i żórawiąt Polska czemże jest: ani pędem ku „zdrowemu egoizmowi", ani pełnem korytem użycia. Ich Polska, będąca dla nich żywą, jedyną i najwyższą realnością, to romantyzm dla nas, i mit, i nierealność tęczowa.

To też ich Polska jest nieśmiertelna, jak oni. Niebo i ziemia przeminie, ale ta Polska nie przeminie. Nasza zaś Ojczyzna kurczy się wraz z granicami na mapie; ogląda się trwożnie na każde ściągnięcie brwi dzisiejszych Bismarcków i Metternichów Europy; bez amunicji cudzej nie zdoła sfabrykować narodowego entuzjazmu; a żyje jedynie chlebem — głównie z amerykańskiej mąki.

Z „naszej" Ojczyzny wypłynęły apetyty, które przyprawiły państwo o niestrawność niemal śmiertelną, sączył się w chwilach krytycznych pesymizm, panika, bezwład. A z ich Polski i przez nich właśnie rozpłonął święty entuzjazm, zrodziła się ofiarność i najszczytniejsze bohaterstwo.

Sparafrazowałbym werset Ewangelji:

— „Jeżeli nie będziemy, jak jedno z tych maluczkich to zaiste nie wnijdziem nigdy do Polski istotnej!"

Bo oni dla Niej w swej duszy i czynie są całkowici — my zasię, połowiczni jesteśmy: nasz patrjotyzm powszedni ma tysiąc i jedno zastrzeżeń.

Otrząśnijmy się tedy z trzeźwości zbytniej.

I uczmy się — na Boga! — jak czynnie kochać należy Ojczyznę — od tych, którzy są sercem serc Polski, tej właśnie Polski, co nie przeminie wówczas nawet, gdy niebo i ziemia przeminą.

*) Serce serc Polski.